

Królewiacy

przez

Artura Gruszeckiego.

19)

— To niema żadnego sensu, — mówiono ogólnie, — urządzać jakąś żałobę narodową, to nas naraża na śmiechy i drwiny Niemców i Rosyan. Czynem pokażemy, co możemy i umiemy, a nie odmawianiem sobie zabaw i przyjemności w tak ciężkich czasach.

Pod czynem rozumie prawdziwy Galicyanin odświeżenie przepisaną ilość godzin w biurze i załatwienie „kawałków” wyznaczonych przez przełożonego. Istotnie, cała tak zwana inteligencja Krakowa w niczem nie zmieniała zwykłego trybu życia w karnawale, bawiono się publicznie i prywatnie we wszystkich kółkach i kółeczkach towarzyskich.

Czajkowsky nie brał udziału w tych zabawach, więcej może z braku znajomych i sposobności, aniżeli z przekonania.

Jednego dnia otrzymał Roman niespodziewanie bardzo uprzejme zaproszenie na wieczorne zebranie u państwa Stokłosów. Mając istotną sympatię dla nich obojga, odpisał, że w oznaczonym dniu stawi się chętnie.

Zastał tam dosyć osób, a pomiędzy nimi, prócz gospodarzy, jedynym jego znajomym był Marski, który przywitał go serdecznie i wzięwszy na stronę, zapytał o stosunki jego w fabryce.

— Z kolegami biurowymi prawie że się nie znam, — odpowiedział Roman, — są to żydzi.

— A prócz pana niema tam innego katolika?

— Jest techniczny kierownik, ale to człowiek zapracowany, żonaty i niechętnie się udziela.

— Ale pensję otrzymuje pan regularnie?

— Tak jest.

— A kaucya zabezpieczona?

— Postąpiłem według rad i wskazówek pana.

— Dla uczciwych ludzi wystarczyłoby, — uśmiechnął się Marski, — ale tu sprawa z żydem i szczerze radzę, ażebyś się pan pilnował.

— A pan Stokłos nie porzucił swego planu co do kinematografu? — spytał Roman.

— O, nie, to człowiek zawzięty; apelował do namiestnictwa, odpowiedzi naturalnie niema... Zna pan to towarzystwo?

— Prócz pana i gospodarzy, nikogo.

— To są zamożni, jak wy mówicie, burżuazy.

Widzi pan tego grubego jegomościa? — wskazał na niskiego, pękatego, z pełną twarzą, szpakowatego bruneta, — to Filarek, na wędlinach dorobił się dwóch kamienic i dwóch córek, — uśmiechnął się.

— One są tutaj?

— Tak jest. Ta wiotka, ładna blondynka z bukiecikiem fiołków przy staniku, to Mania, starsza córka, a ta niska szatynka, wesoła i uśmiechnięta, to Stasia, jej siostra.

— Czy jest tu ich matka?

— Matka umarła, a wychowała je siostra ojca, ta jejmość sucha i wysoka jak tyka.

Kolejno zaznajamiał Romana z resztą towarzystwa, bez zółci i plotek, tylko z uwagami zabawnymi a niewinnymi.

Tę ich rozmowę przerwała gospodyni domu, która przystąpiła do nich z uśmiechem mówiąc:

— Dość tej obmowy, panie Marski, nie psuj mi pan interesu.

— Niech mię pani przyjmie do wspólki, — zaśmiał się Marski, — jako współnicy będziemy sobie pomagali.

— Każdego innego, tylko nie pana.

— Czy jestem wyklety?

— Zasługuje pan na to. Same panny garną się do pana, a pan uparł się zostać nieżnośnym, starym kawalerem.

— Ja nie zarzekam się wcale ożenku, ale muszę znaleźć silniejsze podniety, aniżeli pani namowy.

— Panie Czajkowski, proszę ze mną, niech pan nie słucha tego bezbożnika, zepsuje się pan.

— Jeśli jest co do zepsucia, — zaśmiał się Marski.

Pani domu poprowadziła Romana wprost do siostry pana Filarka, przedstawiła go, a po wymianie kilku banalnych frazesów, zbliżyła się do rozmawiającego Filarka, mówiąc:

— Panie, Filarek, przedstawiam panu naszego przyjaciela, a mego protegowanego, — wymieniła nazwisko Romana, — który z powodu rewolucji przeniósł się z Warszawy tutaj i natychmiast otrzymał bardzo dobrą posadę. Chcę go poznać z najdzielniejszymi obywatelami Krakowa, a więc w pierwszym rzędzie z panem.

Filarek odruchowo przyglądał dłonią rzadkie włosy na łysinie, obrzucił Romana chytremi, śmiejącymi się oczkami i podając rękę, usiłował mówić cicho, jakkolwiek głos jego słyhać było niemal w całym pokoju:

— Bardzo to pięknie, że pan do nas przyjechał. U nas panie, zawsze można mieć kawałek chleba, tylko trzeba pracować, o!... A jaką to posadę ma pan dobrodziej, co?

— Jestem kasyerem w fabryce.

Filarek skrzywił się nieznacznie, co dostrzegła Stokłosowa i szybko dodała:

— To posada tymczasowa, panie Filarek, pan Czajkowski jest współnikiem mego męża i będzie miał znaczne dochody.

— W to wierzę, — uśmiechnął się dobroduszenie Filarek, — bo mąż pani dobrodziejki ma głowę na karku i robi dobre interesy. Jako współnika pana Stokłosa przyjmę pana chętnie u siebie. Mieszkamy skromnie we własnej kamienicy, ale dla gości znajduje się miejsce.

— Nie obrażałby pan Pana Boga, — zaśmiała się gospodyni, — zajmuje pan cały apartament, pięć pokoi na pierwszym piętrze.

— No, jest jeszcze ubieralnia, pasaż i łazienka. Niech mi sam pan dobrodziej powie, — zwrócił się do Romana, — przecież na to człowiek całe życie pracował, ażeby miał wygody na starość. Nie idzie o mnie samego, ja tam nie zwykłem do salonów, ale dla dzieci, dla córek... a zna pan moje córki?

— Właśnie chcę pana Czajkowskiego przedstawić pannom.

— To dobrze, młodzi z młodymi, taki porządek. Gospodyni szła dalej z Romanem, szepcząc:

— Niech się pan nim nie zraża, to bardzo dobry człowiek, trochę dorobkiewicz, tak jak i mój mąż, ale tylko tacy są coś warci.

— Prawda... ale pani nie jest Galicyanką?

— Skąd to pytanie? — zaśmiała się wesoło.

— Bo tu, zdaje mi się, wyżej cenią rangi, aniżeli pracę.

— Wiem o tem, ja też jestem Wielkopolką.

Przystąpili oboje do panny Maryi Filarkówny, siedzącej trochę na uboczu, a po przedstawieniu Romana, powiedziała gospodyni:

— Panie Czajkowski, baw pan moich gości, od czegoś pan młody i kawaler? i pamiętaj pan, ażeby panna Marya nie skarżyła się na nudy. Siadaj pan, tu, bliżej, — wskazała mu krzesło obok panny i odeszła.

Na razie oboje młodzi prowadzili dosyć banalną rozmowę o pogodzie, kwiatach, ale stopniowo zaczęli mówić o najprzyjemniejszym temacie, bo o sobie.

— Jaki pan szczęśliwy, — westchnęła lekko, patrząc smutnemi oczyma przed siebie, — że pan pracuje, ma pan cel w życiu.

— Każdy mieć go może, byle chciał, — odpowiedział Roman, — tylko od nas samych zależy szczęście.

— Tak... pan mówi jak mężczyzna, ale co innego my, kobiety. My jesteśmy skazane na bezczynność, póki... póki ktoś nie otworzy zamkniętej klatki.

— Patrząc na panią, — uśmiechnął się Roman, — nie przypuszczam, ażeby ta klatka szkodziła pani, taka pani ładna, świeża i pełna życia.

— Pozory, — zarumieniła się lekko i spuściła oczy, — żyję jak ta roślina w cieplarni, wegetuję tylko, i taka pustka wokoło.

— Czyż nikt nie pokusił się o otwarcie tej złotej klatki?

— Wpierw musiałby klucz znaleźć.

I tak oboje krążyli wokoło miłości, tęsknoty i niezaspokojonych pragnień, jak ćmy wokoło ognia.

Roman, silny wolą i swą samodzielnością, poczuł wielkie współczucie dla pięknej, a tęskniącej do życia panny i zapragnął natchnąć ją siłą, energią do zrzucenia więzów, które przeszkadzały rozwinąć skrzydła tej pięknej duszy.

Stęskniony do towarzystwa niewiast, do tej rozmowy, uzupełnianej półsłówkami, spojrzeń, akcentowaniem słów najpospolitszych, nadawaniem im innego znaczenia, był niemal oczarowany swoją sąsiadką i starał się usilnie o odszukanie klucza, któryby mu pozwolił obudzić do życia tę, zdaniem jego, zaczarowaną królewnę, mającą dziwnym przypadkiem losu, ojca tak prostackiego i nieprzyjemną ciotkę.

Przy kolacyi, jakkolwiek ze względu na formy towarzyskie, rozmawiał także z innymi, ale cały oddał się na usługi sąsiadującej z nim Mani.

Ona, widząc to zajęcie się nią Romana, zwolna chłodła i stawała się wymagającą. Przestała mówić o swym smutku, niewoli, wegetowaniu i w połowie wieczery zaczęła podniecać Romana do krytykowania towarzystwa i poszczególnych osób.

Roman puścił chętnie wodze swej złośliwości, określił karykaturalnie dalsze i bliższe sąsiedztwo, co Mania przyjmowała z wybuchami wesołości i śmiechu.

Po kolacyi, gdy mężczyźni przeszli na cygara i papierosy do innego pokoju, zbliżył się Marski do Romana, mówiąc z uśmiechem:

— Ryba haczyk połknęła.

— Nie rozumiem, — zarumienił się Roman.

— Bez tej blagi! — śmiał się Marski, — plan swatki powiódł się na razie.

I ona podobała się panu?

— Dosyć ładna, miła i inteligentna.

— Hm, to winszuję panu. Dla mnie to galareta, trochę sztuczna, trochę udana.

— Pan nie gustuje w takich, jak ona?

— Ja, uważa pan, panie Czajkowski, lubię zdrowe, dzielne, rosłe dziewczęta, które wiedzą, że nam trzeba dobrej gospodyni, a dzieciom zdrowej matki. A te wszystkie, ach! och! kwiaty, romanse, flirty, to psu na budę.

Roman w słowach Marskiego odczuł surową krytykę Mani, co go wbrew woli dotknęło, i odrzekł:

— W kobiecie nie szukam tylko gospodyni i przyszłej matki, ale chcę mieć towarzyszkę, którą rozumiała i przeżywała ze mną wszystkie wrażenia.

— Larifari, gruszki na wierzbie. Niechno pan spróbuje dać żonie na śniadanie poezję, na obiad kwiaty, na kolację wrażenia, a ubrać ją w mgły i tęcze, dopiero pozna pan piekło na ziemi.

— Pan robi karykaturę, — uśmiechnął się Roman, — a przyzna pan sam, że kobieta, tak jak każdy z nas, prócz jedzenia, picia i ubrania potrzebuje zadowolenia umysłowego i etycznego.

— Jak ma dziecko i męża, w kącie idą wszystkie, tak zwane potrzeby duchowe, nauki, doktoraty, profesury... ale, jeśli panu dobrze z tem złudzeniem, nic mnie to nie obchodzi.

Zaczęli mówić o wspólnych znajomych.

W tym samym czasie, Stokłosowa nie zaniebdywała dalszych starań o urzeczywistnienie swego planu. Upatrzywszy stosowną chwilę, zbliżyła się do Mani i spytała swobodnie:

— Jakże się pani podobał mój protegowany?

— Kto, proszę pani? — udała zdziwienie, ażeby zyskać czas na odpowiedź, ale samo zarumienienie zdradziło ją, i ona to odczuła, gdyż dodała: — zapewne pani ma na myśli pana Czajkowskiego? — a na potakujące skinienie gospodyni, mówiła dalej:

— Dosyć przyjemny, tylko on jakiś nie nasz.

— Cóż mu brakuje? — uśmiechnęła się.

— Tak sobie drwi ze wszystkich, jak gdyby on jeden był wyjątkiem.

— O, to mu zganię, — powiedziała Stokłosowa, — to brzydka wada.

— Nie, nie, niech mu pani nie mówi, miałby żal do mnie.

— A wie pani, że ojciec go zaprosił do was.

— To dziwne. A kiedy mu powiedział?

— Już on się sam postarał, on w pani taki rozkochany, że nie widzi świata przed sobą.

— Pani żartuje, — zaczerwieniła się z zadowolenia.

— Wcale nie, wszyscy o tem rozmawiali przy stole, tylko wy dwoje nie zauważyliście tego, jak zwykle zakochani.

— O, nie ja, — zaprzeczyła żywo.

W tej chwili w progu saloniku stanął Marski z Romanem i obaj patrzyli na Stokłosową i Manię.

— Ręczę pani, — szepnęła gospodyni, — że pan Marski wysła się, ażeby zniechęcić pana Romana do starania się o względy pani.

— Ach, on się Roman nazywa, — powiedziała ucieszona.

— Podoba się pani to imię? to wcale ładnie będzie brzmiało: pani Romanowa Czajkowska... byle tylko ten Marski go nie przekabacił.

— Czy on taki zmienny? czy tak łatwo ulega drugim? — spytała z zajęciem.

— No, wie pani, mężczyźni mają swoje sposoby odstręczania od małżeństwa. Wystarczy, o ile nie jest bardzo rozkochany, ażeby mu drugi przedstawił w czarnych kolorach wymagania ojca, pretensjonalność matki, kokieterię i próżność panny...

— O, tego u nas niema, ojciec rad będzie, gdy wyda nas za mąż, a ciotka będzie uszczęśliwiona, gdy zostanie sama na gospodarstwie w domu, — i zniżając głos do szeptu: — czy nie mogłaby się pani dowiedzieć, co też mówił pan Marski?

— I owszem, — i spojrzawszy znacząco w stronę stojących dwóch mężczyzn, dała im znak, ażeby się zbliżyli.

Spostrzegli to. Marski szedł wolnym, równym krokiem, a niecierpliwy Roman wyprzedzał go i znów się zatrzymywał, ażeby iść razem z towarzyszem